

MIROSŁAW SOŚNICKI

ŻYCIE

PRZED PRZECINKIEM

Mojej Mamie
Autor

I

Na Ziemi może być tak samo pięknie jak i w niebie.

Noc zdawała się o wiele przyjemniejsza niż dzień. Była ciepła, spokojna. Siedział pod sosnami rosnącymi nieopodal domu, z wyciągniętymi nogami opartymi na starym, ogrodowym krześle, z ulubioną szklaneczką napełnioną do połowy czerwonym, wytrawnym winem.

Patrzył na trzy wielkie wiązy rosnące przy ogrodzeniu po drugiej stronie posesji. Teraz przypominały ogromnych rycerzy podtrzymujących niebo, na którym co jakiś czas pojawiała się nowa gwiazda. Gwiazdy leniwie wysuwały się spod pierzyny, powoli przecierały oczy i niespiesznie zajmowały swoje miejsce na nieboskłonie.

Czasami zabawiał się tworzeniem teorii powstania Wszechświata. Wydawać by się mogło, że ten początek nocy jest wręcz stworzony do wymyślenia kolejnej historyjki lecz nie wiadomo dlaczego jego myśli były zaprzętnięte parą jastrzębi, które rano pojawiły się na niebie i prawie aż do obiadu krążyły nad okolicą.

Zobaczył je przed śniadaniem. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, bo tutaj jastrzębie są gospodarzami nieba. Można je zauważyć w miarę często. Zawsze są piękne, zawsze dostojne, a zwłaszcza wtedy, kiedy szybują z rozłożonymi szeroko skrzydłami, wówczas zdają się być czymś doskonale spełnionym – tak bardzo, że pojawia się uczucie zazdrości, pojawia się wielkie pragnienie

szybowania po niebie z rozpostartymi skrzydłami i spoglądania na świat z góry.

Dzisiaj w tym jastrzębim szybowaniu było coś innego niż zazwyczaj. Coś, co sprawiło, że teraz, nocą, zamiast z oddali przyglądać się swoim myślom i patrzeć, jak próbują wciągnąć go w swoją nieustającą gonitwę, rozważa zachowanie pary jastrzębi, które prawie przez pół dnia były w zasięgu jego wzroku. Obracając się, mógł śledzić ich lot. Skoro tak, to był w centrum okręgu, po którym poruszały się jastrzębie. Czyżby on albo ktoś z domowników zaciekał tę majestatycznie płynącą po niebie parę?

Jastrzębie z całą pewnością były większe niż te, które widział zazwyczaj. Jeden z nich cały czas wyznaczał tor lotu. Drugi leciał kilka metrów za nim i zdawało się, że nie zbacza nawet o centymetr. Ptaki czasami znikaly za pobliskim wzgórzem, ale szybko wracały i kontynuowały swój lot. Czego szukały? Co je tak zainteresowało?

Tego sierpniowego przedpołudnia nie wydarzyło się nic, ale to absolutnie nic, co mogłoby zaciekać kogokolwiek, a tym bardziej nic, co mogłoby zainteresować parę pięknych jastrzębi.

Po śniadaniu zabrał się za grabienie. Kosił kilka dni temu, ale przyszły tak upalne dni, że trudno było wyjść z domu. Białe, kłębiaste chmury, które co jakiś czas przesłaniały słońce, powitał jak zbawienie. W końcu można coś zrobić na dworze. Leżące wiązki uschniętej trawy raziły w oczy. Nie było wyjścia. Trzeba było wziąć grabie w dłonie. Nie lubił tej pracy. Koszenie sprawiało mu radość. Do uszu wkładał kłębki waty, zakładał szelki, przypinał spalinową kosę. Zaczynał koszenie od trawnika przed domem. Co jak co, ale trawa przed domem nie może przypominać dzikich chaszczki. Później szedł na tarasy. Kosił pomiędzy agrestem, porzeczkami, wokół śliw, jabłoni, czereśni.

Kiedyś grabienie należało do mamy i Elżbiety. Ale wiosną dwa lata temu mama ustała. Po prostu nie miała się żadnych prac ogrodowych. To było nie do pomyślenia. Kiedyś ogród, skalniaki, taras z grotą, w której stała figurka Matki Boskiej, liczne krzewy rosnące wokół i poniżej domu, a także ostatni taras z wysokimi, murowanymi z

polnych kamieni kwaterami, w których rosły warzywa – to było mamy królestwo.

Od wczesnej wiosny aż do później jesieni mama była w swoim ogrodowym żywiole. Przycinała, pielęła, podlewała, przesadzała i co jakiś czas przypominała mu o konieczności koszenia. Trzeba było mamę z ogrodu przeganiać. Trzeba było używać najprzeróżniejszych forteli, opowiadać o tym, że w domu czekają doskonale ciepłe racuchy albo, że pora na popołudniowy koktajl z owocami, albo, że trzeba pełnić dyżur przy telefonie, bo wujek Ziutek dzwonił już trzeci raz.

Przed kilku laty grabienie dla Elżbiety stało się zbyt uciążliwe. Gdyby tylko spróbowała wziąć grabie do ręki, to natychmiast by jej je wyrwałby i nakrzyczał, że bierze się za robotę, która jest dla niej za ciężka. Był raptusem i może nawet stanowił jakąś odmianę choleryka, ale te jego pokrzykiwania były na ogół podyktowane dobrymi intencjami.

Mama siedziała na ławeczce przed figurką Matki Boskiej. Elżbieta była pochylona nad jedną z warzywnych kwater, on grabił, a jastrzębie szybowały nad ich głowami, zataczając kolejne kręgi. Upodobały sobie Elżbietę, która wyrywała młode buraki na zupę? A może modlitwa mamy wzbudziła podziw? Mama modliła się za zmarłych – aby osiągnęli niebo, za żywych – aby mieli co jeść i byli zdrowi, za pokój na świecie, za swojego ulubionego papieża i za wszystko, co uznała za wartę modlitwy.

Siedząc przez długi czas na ławeczce, powinna z kilka razy unieść głowę ku górze. Może zobaczyła parę szybujących jastrzębi i poprosiła Boga, aby jastrzębie doleciały tam, gdzie mają dolecieć. Aby wszystko w ich życiu się dobrze układało. Aby miały co jeść, co pić. Aby doczekały się piskląt, z których wyrosną piękne, wspaniałe ptaki, budzące podziw i szacunek.

Jeżeli ktoś z domowników mógł wzbudzić zainteresowanie jastrzębi, to mogła to być tylko mama. Elżbieta szybko wróciła do domu, aby zająć się obiadem, i nie mogła być obiektem zainteresowania. Jego grabienie było toporne, prędkie, by nie

powiedzieć byle jakie. Zgarniał trawę niezbyt starannie, nie przejmując się, że sporo źdźbeł zostaje na trawniku. Nawet najbardziej cierpliwa istota nie chciałaby się przyglądać tej jego niechcianej pracy. Nie było w niej rytmu, piękna. Był chaos i pośpiech.

Mama.

Tylko mama mogła wzbudzić zainteresowanie jastrzębi.

Często zaglądał do domu. Po to, aby się napić, po to, aby chociaż przez chwil parę śledzić kursy akcji (może coś wypatrzy, coś, co właśnie wychodzi z marazmu, nabiera rozpędu i będzie zwyżkować), po to, aby zapytać Elżbietę, czy aby nie ma czegoś słodkiego. I zawsze Elżbieta coś mu tam z zakamarków wyszukała. To kruche ciastka, to gdzieś zachomikowaną głęboko chałwę królewską albo kilka czekoladowych cukierków. Zawsze było coś. A jak już nie było nic – to były miętowe landrynki.

Nie miał pewności, kto je bardziej lubi. Chyba mama, bo kiedy jechał do miasta, prawie zawsze prosiła go o miętowe landrynki. Pamięta ten smak z dzieciństwa. Lizaki na patyku i miętowe landrynki. Landrynki były zdecydowanie lepsze od lizaków. Smak mięty początkowo był ostry, może nawet bardzo ostry, ale później rozleniwił się nieco i stawał się smakiem łagodnym, smakiem przyjemnie chłodnym i najważniejsze – smakiem długotrwałym.

Nie mógł się przełamać do tej prostej czynności, która z pewnością była zbawienna dla jego kręgosłupa, dla całego jego systemu kostnego, dla układu krążenia i dla układu oddechowego, i dla mózgu, który się dotleniał. Ale to przecież nie koniec zalet tak pięknej, przyjemnej i lekkiej pracy, jaką jest grabienie trawy. To przecież ćwiczenie cierpliwości (której ciągle w życiu miał wielki niedostatek). To także znakomite ćwiczenie siły charakteru. Po prostu życie daje mu kolejną szansę. A on jej nie chce wykorzystać!

W trakcie pracy przystawał często. A podczas takiego przystawania – wiadomo, zadziera się głowę i patrzy, czy świat się za bardzo nie zmienił. I to jego częste zadzieranie głowy sprawiło, że teraz,

wieczorem, rozmyśla o parze wyjątkowo pięknych jastrzębi, która przez ponad pół dnia krążyła nad nimi.

Tak bardzo je mama zaintrygowała? Cóż mogły widzieć z góry? Siwe włosy, sukienkę niebieskawą w jasne plamy, spod której wystawały nogi. Zastanawiały się nad tym, dlaczego ta ponadsiemdziesięcioletnia kobieta siedzi tak długo w jednym miejscu? Chciały odgadnąć jej myśli?

Musiałby się wznieść tak wysoko, jak to potrafią jastrzębie, i popatrzeć z góry na świat. Wtedy mógłby snuć podniebną opowieść. O parze jastrzębi, która wyłapuje ludzkie myśli. Te gorsze, podlejsze, nienawistne, okrutne, złowieszcze. Wyłapuje je i gdzieś tam za widnokregiem zakopuje głęboko, aby się nie odradzały, nie rozprzestrzeniały.

Jastrzębie są strażnikami nieba. Strzegą go przed złymi myślami. Nie chcą, aby złe myśli krążyły pomiędzy ludźmi. Nie chcą, aby złe myśli wędrowały po Wszechświecie. Nie chcą, aby dotarły do Boga. Bóg już jest ziemskimi sprawami umęczony, więc lepiej Boga nie irytować.

Może odwieczna harmonia ludzkie myśli łagodnością nasyci i ziemski świat miłością rozbłyśnie, ale, póki co trzeba robić swoje. Złe myśli jak głowy Hydry się odradzają i trzeba przed nimi ludzi, Wszechświat i Boga chronić.

Być może tak właśnie jest.

Kiedy modlitwa mamy w górę biegła, po niewidzialnych schodkach pięła się coraz wyżej i wyżej, jastrzębie nie mogły się nadziwić. Jakaś kruszynka siedzi przed kamienną kapliczką, w której stoi figurka Matki Boskiej, i modli się sercem.

I to może jastrzębie urzekło.

Dlatego z taką gorliwością zataczały kręgi nad mamą, aby nic modlitwy mamy nie zakłócało. Aby mogła pomiędzy ludźmi wędrować. Aby mogła po Wszechświecie krążyć. Aby mogła do Boga dotrzeć. Aby radość mu dała. Aby Bóg raz jeszcze uwierzył, że na Ziemi może być tak samo pięknie, jak i w niebie.

II

**Śmierć puka w lusterko. Raz, drugi.
Przygląda się, co też to jej pukanie sprawiło.
Zdziwiona jest tym, że tyle rwetesu wokół.**

Rano, jak zwykle uchylił drzwi do mamy pokoju. Mama spała i nie spała. Podniosła głowę i odpowiedziała: „dzień dobry” na jego „dzień dobry”. Po chwili, tak jak to miała w zwyczaju, przytaknęła dwa razy głową, co miało oznaczać, że przyjęła do wiadomości, że śniadanie już na stole i zaraz wstanie, jak on tylko zamknie drzwi. Bo przecież nie będzie przed nim paradować w nocnej koszuli.

Kiedy zszedł na dół, Elżbieta wyjmowała z garnka jajka. Położyła dwa na talerz, na którym były już przygotowane kanapki. Dla mamy: dwie kromki chleba z pomidorem na listkach sałaty, obok małosolny ogórek przekrojony na pół. Jego śniadanie było takie samo, z tym, że on miał swój chleb razowy z grubymi ziarnami, którego ani Elżbieta, ani mama nie jadły, bo był dla nich za twardy.

Obok jego talerza stała miseczka z ogórkami małosolnymi, bo te ogórki to jego przysmak. Mógł je jeść bez końca. Już kilka godzin po zakiszeniu wybierał z garnka te najmniejsze, półsurowe, które już delikatnie zmieniały swój smak. Najlepsze były po dniu i po dwóch dniach kiszenia. Jeszcze sprężyste, świeże, tak jakby właśnie zerwało się je z przydomowych grządek, a przy tym lekko słone. Ta subtelna słoność była taka niedookreślona, nie do uchwycenia. I to sprawiło, że ogórki były niezwykle smaczne.

Trzy kubki z zaparzoną kawą były jak trzy kadzidła, które wyznaczały liturgię ich śniadania. Aromat kawy roznosił się po domu. I chyba sprawił, że mama wyszła z łazienki. Zaraz powinna zejść na dół. Ale wcześniej usiadł na krześle w swoim pokoju i przed małym lusterkiem, które on zna jeszcze z dzieciństwa i które służy chyba mamie od jej młodości, umaluje się. Poprawi lekko brwi, uszminkuje usta. Bo mama nie ma zwyczaju nikomu pokazywać się bez makijażu. To nie jest w mamy stylu.

Jajka jak zawsze były na wpół miękko i na wpół twardo. Kiedy delikatnie stuknął czubkiem drugiego jajka o blat stołu, pomyślał, że pora zawołać mamę, bo jajka lada chwila wystygną i już nie będą tak dobre jak teraz. Wstał, wyszedł na korytarz i zawołał:

– Mamo!

Mama z całą pewnością nie słyszy. A nawet gdyby słyszała, to i tak nie zejdzie, aż nie skończy makijażu. Mógłby zanieść śniadanie na górę, ale złamałby tym samym niepisaną domową zasadę, mówiącą o tym, że posiłki jedzą razem. Wystarczy jedno, dwa słowa i mama natychmiast zejdzie na dół. Wystarczy tylko powiedzieć, że ładnie, pięknie, ślicznie wygląda i każde, nawet najmniejsze pociągnięcie kredką do rzęs czy też szminką może ten wygląd popsuć. Mama popatrzy w lustro, uśmiechnie się do niego i zejdzie na dół.

Kawa będzie nadawała się już do picia, jajka będą jeszcze ciepłe i Elżbieta będzie zadowolona, że jej praca nie poszła na marne. I on też będzie zadowolony, bo przecież nie ma nic lepszego niż to, że zaczną dzień w dobrych nastrojach.

Idąc na górę, zastanawiał się, które słowo będzie najwłaściwsze. Wybrał słowo „dobrze”. Będzie chyba na poranek najlepsze, bo mama powinna mieć na sobie jakąś letnią bluzkę i luźną spódnicę. Słowa: „pięknie”, „ślicznie” bardziej pasują do odświętnych czy też wieczorowych kreacji. Ale gdyby słowo „dobrze” na mamę nie podziało, to bez wahania sięgnie do arsenału komplementów.

Otwierając drzwi mamy pokoju, miał już w ustach zdanie: „Dobrze, mamo, wyglądasz”. Wypieścił, wychuchał każde słowo tak,

aby pięknie wybrzmiało, aby miało moc. I teraz to zdanie jak jakiś twardy, dławiący kamień tkwiło w ustach i nie chciało się ruszyć.

Mama leżała na dywanie tuż obok stołu. Na stole stare, posrebrzane lustro, obok niego szminka i kredka do brwi. Uklęknął obok mamy i z trudem wykrztusił:

– Mamo, słyszysz mnie?

Mama nic nie odpowiedziała. Miała zamknięte powieki i zdawała się nieobecna. Pochylił się nad nią. Lewy policzek jakby się zapadł. Na szczęście mama oddycha. A jak oddycha, to żyje. A jak żyje, to potrzebuje pomocy. Telefon! Gdzie jest telefon?! Chyba jeszcze w sypialni. Nie! Zniósł go ze sobą na śniadanie.

Biegiem po schodach na dół. Jest! Leży obok miseczki z małosolnymi ogórkami.

– Mama nieprzytomna leży na podłodze. Dzwonię po pogotowie!
– wykrzyknął w kierunku Elżbiety i pobiegł na górę, wybierając po drodze numer alarmowy.

Będąc w pokoju mamy, nasłuchiwał sygnału wybierania numeru. Wydawało mu się, że trwa to i trwa.

– Słucham.

– Moja mama leży nieprzytomna na podłodze. Oddycha. Żyje – powiedział jednym tchem. Przełączono go na pogotowie. Raz jeszcze powtórzył to samo. Następnie podał adres i nazwisko.

– Ile ma lat?

– Osiemdziesiąt sześć – odpowiedział po chwili zastanowienia.

– Proszę czekać – powiedziała dyspozytorka. Nim zdążyła się rozłączyć, zdążył zapytać:

– Mogę mamie pomóc? Co mogę teraz zrobić, aby mamie pomóc?

– Proszę chorą nakryć kocem. Można też ostrożnie wsunąć poduszkę pod głowę.

Zauważył opartą o futrynę Elżbietę. Wydawała mu się blada i wyczerpana. Z przerażeniem patrzyła gdzieś tam daleko, za okno. Obejrzał się. Za oknem nie zobaczył nic szczególnego. Szpaler sosen stał tak samo jak wczoraj, jak przedwczoraj, jak dzisiaj rano. Ale kiedy

sięgnął po leżący na kanapie koc, Elżbieta wzięła jeden z jego końców i wspólnie nakryli mamę, a kiedy uniósł głowę mamy, wsunęła pod nią delikatnie poduszkę.

Sonia! Brama! Samochód!

– Chyba będą potrzebne dokumenty mamy. Dowód, legitymacja emeryta. Poszukaj, a ja się zajmę resztą – powiedział najspokojniej, jak mógł, i aż się zdziwił, że w jego głosie tyle spokoju.

Nie czekając na odpowiedź, szybko wyszedł z pokoju. Po drodze wziął z sypialni kluczyk do samochodu. Od lat kładł go na nocnej szafce. Tam było stałe miejsce i tam leżał. Sonia! Berneński pies pasterski. Najlepszy ich pies, jakiego mieli do tej pory. Przy śniadaniu leżała obok jego nóg, licząc na to, że dostanie jakiś przysmak ze stołu. Na szczęście była jeszcze w pokoju. Bez oporu dała sobie założyć obrozę, myśląc, że zabiera ją na kolejny spacer. Przywiązał smycz do sosny. Był tam cień, Soni nic się nie stanie.

Samochód stał przed domem. Musi go przestawić, aby ambulans mógł podjechać pod drzwi. Kilka metrów i już jest miejsce dla karetki. Teraz szybko do bramy. Dom jest trochę oddalony od drogi, a brama wjazdowa tuż przy niej. Prawie biegł i kiedy otworzył bramę wjazdową, uświadomił sobie, że do miasta jest ponad dwadzieścia kilometrów. Nie musiał się tak spieszyć.

Dokumenty mamy!

Przeszedł z Elżbietą przez kilka szpitali, przez kilka oddziałów ratunkowych i zawsze na początku dokument były najważniejsze. Tak jakby bez nich nie można zacząć ratować człowieka. Mama mogła położyć je wszędzie. Może są w torebce, a może w jakimś szufladzie, a może tam, gdzie zawsze? Miała w zwyczaju kłaść je na małej półeczce w barku. Ale mama ostatnio coraz częściej zapominała o wszystkim, o czym zapomnieć chciała i nie chciała. Dowód, legitymacje były w małym zielonym portfeliku. A w maminym pokoju tyle szuflad, torebek, kieszeni, skrytek przeróżnych. Mogą szukać i dzień cały. Musi szybko wracać, aby pomóc Elżbiecie.

Kiedy miał przekroczyć próg domu, coś go gwałtownie zatrzymało. Tak jakby jakiś niewidzialny siłacz stał u drzwi i mówił mu:

– A jeżeli mama nie żyje?

Nigdy do tej pory nie pomyślał o tym, że mama może umrzeć. A przecież już wie, że śmierć przychodzi, kiedy chce i jak chce. Tak bardzo go życie wciągnęło, że o tym zapomniał?

– Żyje! – powiedział na głos i wszedł do domu. Wbiegł po schodach. Kiedy znalazł się w pokoju, pierwsze, co zauważył, to leżący na stole obok lusterka mały zielony portfel. Usiadł na podłodze. Pochylił się nad mamą. Oddech był słaby, ale zauważalny.

– Mamo, słyszysz mnie?

Nie drgnęła nawet powieka. Żadnej reakcji. Lewy policzek zapadł się jeszcze bardziej. Zrobił się z niego krater małego wulkanu. Nie wiedział, co ma robić. Odsunął delikatnie koc. Dotknął lewej ręki. Wziął dłoń mamy w swoje dłonie. Była zimna. Obca. Palce były palcami, ale nie było w nich życia. Jakby życie wyszło z mamy i poszło na jakąś przechadzkę. Może nawet gdzieś tu, w kącie pokoju, sobie odpoczywa. Ale mamine życie jest wielkie jak morze, albo i jeszcze większe. Aż dziw, że do tej pory to wielkie życie się w mamie mieściło.

Cisza.

Taka intensywna, że niczego nie słychać. Niczego nie widać. Elżbieta jest gdzieś obok, ale w tej ciszy jej nie ma. Mama leży na dywanie nakryta kocem, ale mamy w mamie już prawie nie ma. Jego zawieszono w jakiejś krainie pozornego spokoju, ale też go tam nie ma.

Nie znosił czekania. Czekanie go irytowało. Czekanie go wykańczało. Tak było od zawsze. A teraz jest spokojny. Trzyma mamina bezwładną dłoń w swoich dłoniach i zastanawia się, co się stało z mamy życiem? Gdzie ono teraz jest? Jak mama podniesie powieki, to mu powie. I niech sobie ta cisza będzie wielka jak ocean. Nie wciągnie mamy do siebie. Radziła sobie z większymi niebezpieczeństwami, to poradzi sobie i teraz.

Mama zawsze rano, gdy tylko wstała, uchylała okno. I teraz w tę otwartą przestrzeń między uchylonym oknem a światem nieśmiało wsunął się odgłos syreny pędzącego ambulansu. Delikatny, nieco bojaźliwy, jakby zaskoczony tym, że nic się w pokoju nie dzieje. Elżbieta, mama, on zastygli w swoich formach jak woskowe figury. I chyba to spowodowało, że odgłos syreny pędzącego ambulansu przestraszył się i uciekł. Ale wrócił po chwili silniejszy, mocniejszy, natarczywy do granic wytrzymałości. Nie zważając na nic, bezwstydnie rozpychał się po pokoju, wyrzucając wszystkie zastygłe myśli za okno. Nie było wyboru. Trzeba było wstać. Trzeba było zejść na dół. Trzeba było pokazać ekipie ratunkowej, gdzie jest pokój mamy.

A później pomógł nieść nosze, na których mamę zaniesiono do ambulansu. I trzeba było czekać, aż karetka odjedzie. A ambulans stał i stał. Może tam mamę reanimowali? A może podłączali kroplówkę? To czekanie bardzo go niepokoiło. Czemu nie jadą? Czemu nie włączają syreny i nie gnają w te pędy do szpitala? Coś się z mamą dzieje złego? Aż tak bardzo złego, że nie ma sensu jechać do szpitala? Nie! Na szczęście nie! Ambulans ruszył. Syrena zawyła.